

MATYLDA SERAO

## UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYŃSKA

16

I.

IV.

## Święto kwiatów.

Karnawał w Rzymie był tego roku nad podziw wspaniały. Pieniądze płynęły zawrotną falą, zasilając wszystkie wymagania i kaprysy łaknących rozkoszy i użycia.

Raz poraz notowano w dziennikach bale w arystokratycznych domach miasta, zabawy dyplomatyczne w salach Kwirynału, maskowe bale w teatrach i operach i popularne uliczne zabawy, tak rozpowszechnione w Rzymie.

Korso kwiatowe ostatniego czwartku karnawału zapowiadało się przepysznie. Komitet karnawałowy czynny i pomysłowy dołożył wszelkich starań, aby zabawa wypadła artystycznie i wesoło. Plac „walki” otoczony był miał wózkami pełnymi kwiatów, rozsprzedawanych przez urocze i młode ogrodniczki.

Wiele rodzin zamożnych znanych w mieście, wiele młodych kobiet nie troszczących się nigdy o pieniądze i wiele cudzoziemców, przebywających w Rzymie miało wziąć udział w zabawie. Około godziny drugiej ruch wielki zapauzował na głównych ulicach. Przepływały fale strojnej, rozbawionej publiczności, szeregi ukwieconych powozów i jeźdźców, paradujących na przepysznych, rasowych koniach.

Balkony wszystkie przepelnione były widzami.

Różnobarwne kwiaty, jak roje motyli, fruwały z powozu do powozu. Początkowo bieg ich był wolny, prawie leniwy, lecz po małym ruchu ten ożywił się. Wonne pociski spadały coraz gęśszymi i silniejszymi ciosami, wywołując śmiech, okrzyki, a niekiedy nawet pomruk niezadowolonego poszkodowanego.

Dwóch młodych ludzi, bardzo wytwornie ubranych, trzymając się pod ręce, przeciskało się przez tłumy. Deszcz kwiatów sypał się na nich, wśród żartów i zaczepnych uśmiechów młodych kobiet, starających się zwrócić na siebie ich uwagę.

Jeden z nich wysmukły, błydy brunet, był to Robert Alimena, młody hrabia z Milano, drugi, blondyn o niebieskich oczach i głowie archanioła, był jego przyjacielem, a należał do jednej z najstarszych rodzin arystokratycznych w Rzymie, hrabiów Lambertini, cokolwiek w ostatnich czasach podupadłej majątkowo.

Kolo kawiarni Aragno, flok stał się tak nieprzyjemny, że młodzi ludzie zmuszeni byli przystanąć na chwilę, odwrócić się, zamieniając ukłony i uśmiechy ze znajomymi, przesuwanymi się powoli w powozach środkiem ulicy.

Przejeżdżała właśnie wspaniała wiktoria, cała przybrana fiołkami i kameliami, zwieńczona już cokolwiek przez zeiknięcie się z tłumem, w której siedziała młoda kobieta strojnie i bogato ubrana. Viktorya zatrzymała się nagle opodal Roberta i jego przyjaciela.

— To Heliana Lovel — zawołał. — Ona ciebie woła Ranieri!

— Albo też ciebie, mój kochany Robercie — odparł młody Lambertini.

— A więc chodźmy obydwa!

Viktorya Heliany zarzucona była kwiatami. Ona zaś sama, w białej powiewnej sukni i kapeluszu z długim, białym welonem podobna była do dużego, fantastycznego kwiatu, spadłego nagle z niebios.

— Oh! Alimena! Lambertini! dzień dobry! dzień dobry! — zawołała, ujrawszy obydwoh przyjaciół. Chodźcie pieszo jak dwaj starożytni filozofowie. Co wy tu robicie?

— Filozofujemy, piękna Heliano — odparł

Ranieri, opierając się swobodnie o drzwiczki powozu.

— I podziwiamy panie — dodał Robert, uśmiechając się uprzejmie.

— Oh! bardzo źle, inaczej przyslibyście panowie dotrzymać mi towarzysztwa w powozie.

— Który z nas? — zażarłował Ranieri Lambertini.

— Obydwaj! — zawołała żywo, wybuchając śmiechem. — No! Chodźcie! chodźcie! wsiadajcie!

Robert przecząco potrząsnął głową.

— Nie mogę, piękna pani!

— Dlaczego?

— Przysięgam, nie pokazywać się już nigdy więcej z żadną kobietą — odparł z powagą Robert.

— Przysięgałeś komu? „Jej”? — zawołała, podczas kiedy powóz zaczął powoli ruszać z miejsca.

— Tak! Zgadła pani!

— A ty, Ranieri? Ty może nie przysięgałeś?

— Owszem, przysięgałem „jemu”.

— Komu, na Boga?

— Doprawdy? Oddawna?

— Blisko od roku.

— Nieszczęśliwie, co?

— Niel jestem kochany!

— A więc!

— Tem gorzej dla nas!

— Uskarżasz się na to?

— Boli mnie ze względu na nią.

— Więc to jest miłość nie do urzeczywistnienia? Z przeszkodami poważnymi?

— Tak, mój kochany! Miłość beznadziejna!

— Kobieta zameżna?

— Niel! Tylko należąca do innej narodowości, innej religii, innej rasy niż moja. Oh! Robercie! smutne to bardzo, wierzą mil!

— Rozmawiając w ten sposób, młodzi ludzie doszli powoli, przeciskając się przez zatłoczoną ulicę aż do placu Seiarra i zaraz zwrócił ich uwagę drugi powóz, z którego dawano im energiczne znaki ręką i wachlarzem. Kobieta siedząca w powozie była zamaskowana i cała okryta obszernym dominem jedwabnym jasno niebieskim, obszytym białym futrem. Uniósł maskę i zawołała donośnym głosem na Roberta i Lambertiniego.

— Ah! to donna Klara! — wyrzekł

Ranieri, podchodząc do powozu. Pozwolił sobie pani przedstawić przyjaciela swojego Roberta Alimena. Robercie, słyszałeś już niejednokrotnie zapewne o pięknej donnie Klarze Loredana, sławie naszego miasta.

Donna Klara szybkim ruchem zdjęła maskę i błyszczące spojrzenie utopiła w twarzy Roberta.

— Szukałam cię, hrabio Ranieri — odezwała się po chwili, aby cię zaprosić osobiście na obiad.

Głos jej miękki i melodyjny brzmiał pieszczotliwie prosząco.

— Dzisiaj?

— Tak.

— Niestety, jest to niemożliwe!

— Dlaczego?

— Jestem już zaproszony gdzieś indziej.

— Oto już trzeci raz słyszę podobne tłumaczenie — wyrzekła donna Klara z wymówką. — Hrabio Alimena, przyjaciel pana nie jest grzecznym dla kobiet.

— Jest nawet bardzo niegrzecznym — potwierdził Robert, patrząc z upodobaniem w ładną, zaróżowioną twarz młodej kobiety.

— Pan by nie odmówił — nieprawdaż!

— Oczywiście!

— Dzięki Bogu — westchnęła — jest jeszcze na świecie człowiek dobrze wychowany — Ranieri! — dodała, zwracając się do Lambertiniego — przyjdzie pan może do mnie jutro na herbatę. Czy i tego uczynić pan nie może?

— Przyjdę — skłonił się Ranieri — ale być może, że się spóźnię trochę.

— Przyprowadź pan hrabiego Alimena.

— Dziękuję pani za zaproszenie — skłonił się z kolei Robert.

— Wylechałam na corso kwiatowe — mówiła dalej donna Klara, ale nudzę się piekielnie. Zamaskowałam się, bo nie lubię pokazywać się z odkrytą twarzą kiedy jestem sama. Czy nie chcecie panowie wsiąść do mojego powozu?

— Idziemy na schadzkę — rzucił szybko Ranieri.

— Schadzkę miłosną? — zaśmiała się ironicznie.

— Oh! nie!

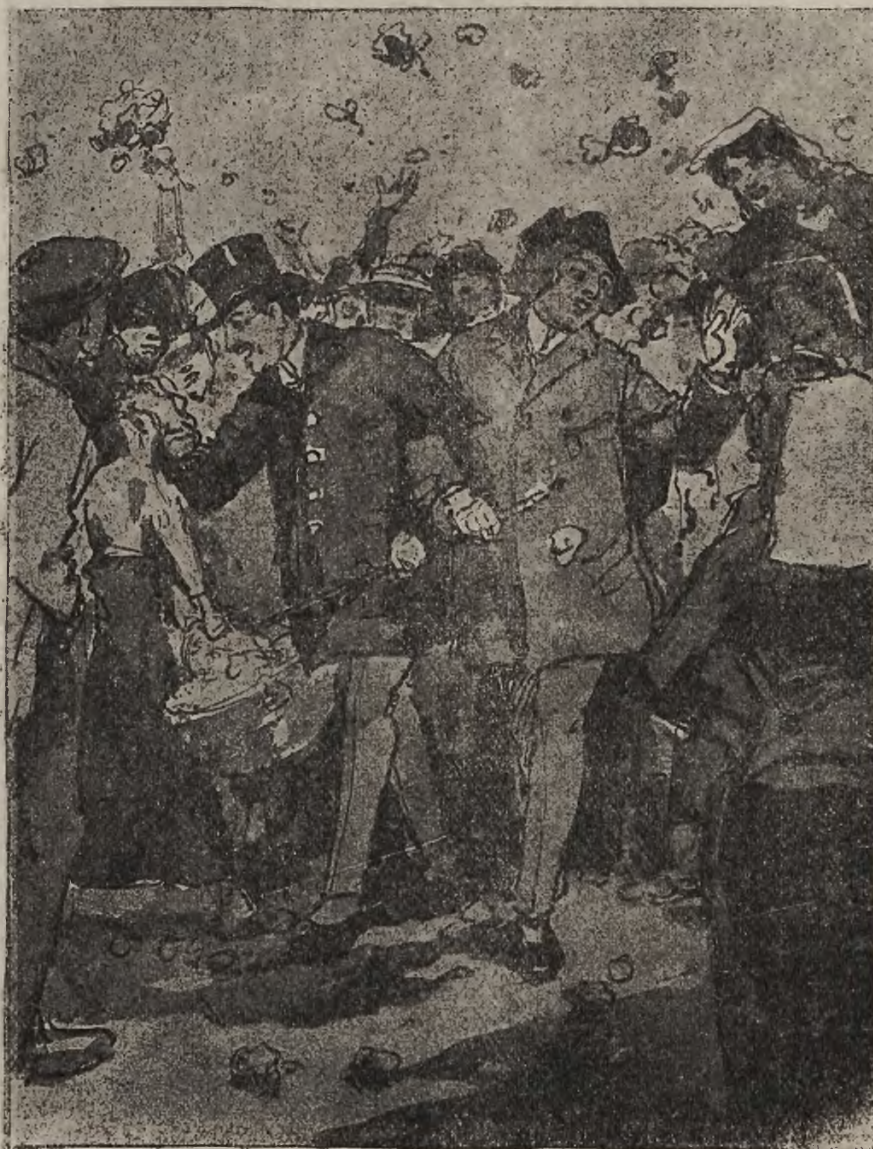
— A więc schadzka z graczami jakimi, przyznajcie się. Panowie wszyscy grać lubicie.

— Zgadłś, hrabino.

— Ah! ileż ta gra w „maccao” mężczyznom zabiera!

— To grawenecka — uśmiechnął się Alimena. — Powinna pani je lubić jako weneCYanka.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Dwóch młodych ludzi, bardzo wytwornie ubranych, trzymając się pod ręce, przeciskało się przez tłumy.

— Carlowi Scotti!  
— Ah! tak! zapomniałeś o mnie zupełnie!  
On tu jest niedaleko, wiesz?

— Czeka na ciebie, piękna Heliano?

— Tak. W San Carlo al Corso.

— A chciałaś jechać z nami!

— Bo tamten nudzi mnie okropnie! Ale do widzenia już! do widzenia! powracać będę wkrótce tędy. Mam ze sobą domina. Jeżeli chcecie, nie kompromitować się zbytnio, zamaskujemy się wszyscy. Do zobaczenia!

— Do zobaczenia, Heliano!

— Ładna i sympatyczna — zauważył Ranieri, kiedy powóz aktorki oddalił się trochę.

— Trochę niebezpieczna — dodał Robert.

— Eh! chyba nie!

— Lubi długotrwałe związki!

— A ty je nie lubisz, Robercie!

— Niel!

— Nie byłeś nigdy zakochany?

— Nie, aż dotąd nie!

— A teraz?

— Teraz... to rzecz inna — wyrzekł przyciszonym głosem Alimena, zamyślając się głęboko.

— Ja również jestem zakochany — oświadczył szczerze.